



ZOFIA KWIECIŃSKA

Jak się pogodzili „Nieustraszeni” i „Dzielni”

Na końcu podwórka był mur. Nie bardzo wysoki, ale w każdym razie zasłaniał widok na ciągnące się za nim pólko i drogę do fabryki. Pod tym murem było ulubione miejsce zabaw, nie tylko dzieci z podwórka, ale z całej okolicy.

Mur spełniał bardzo ważną rolę. To była granica. O mur ten toczyła się wojna między grupą Staszka „Nieustraszonych” i grupą Witka „Dzielnych”. Z jednej i drugiej strony rozlegały się bojowe okrzyki, toczyła się walka zacięta, nie jeden guz wyskoczył, nie jedno ubranie ku rozpaczy rodziców, poszło w strzępy.

Staszek był wodzem podwórka i dzieci z najbliższych domów — królestwo Witka rozciągało się za murem na pólku. Staszek miał tysiące kryjówek, na strychach, w rozwalonych komórkach i piwnicach. Witek miał gołe pólko z kupami gruzu i stojącym po środku na wpeł rozwalonym domem. Ale właśnie ten dom pragnęli zdobyć „Nieustraszeni”.

Zawsze na murku powiewała chorągiew zwycięzców (na przemiany to „Nieustraszonych” to „Dzielnych”). I nawet zima nie przerwała wojny. Kule śnieżne latały z jednej strony na drugą, chłopcy wracali do domu późno, posiniaczeni, spoceni, w poszarpanych i ośnieżonych ubraniach.

Dorośli narzekali, chłopcy dostawali w skórę, ale to nic nie pomagało. Wojna trwała i nie było widoków na szybkie jej zakończenie.

Aż pewnego dnia do państwa Witka przyszli jacyś obcy ludzie — dorośli. Przynieśli z sobą łomy, liny i kielnie. I najważniejsza rzecz — bez ceremonii przepędzili dotychczasowych władców. Chłopcy bili się jeszcze, ale już bez przekonania. Nie było się o co bić.

„Dzielni” nie atakowali, „Nieustraszeni” sterczeli na murze i patrzyli, jak szybko i sprawnie robotnicy latają dziurawę ściany domu. Raz nawet byli świadkami jak sam groźny wódz „Dzielnych” dostał publicznie w skórę od majstra murarskiego.

Potem się okazało, że majstrem był rodzony ojciec Witka, a w skórę dał mu za to, że „Dzielni” spróbowali, gdy robotnicy zeszli z pracy, po swojemu odbudować dom. A ojciec Witka był bardzo stanowczy i nikomu nie pozwalał zbliżać się do budowy.

„Dzielni” w przyzwolonej odległości od domu lepili bałwany z topniejącego śniegu. Cóż to za zajęcie dla wojowników. Ale budowa kordła i powoli „Nieustraszeni” przewędrowali na pólko. Tu nastąpiło uroczyste zawarcie pokoju. Oba oddziały razem gapili się teraz na wędru-

— Ej, pętaki, uciekajcie stąd, bo jak pa-
sa wezmę...

Aż pewnego razu gdy chłopcy jak zawsze zebrali się i bezmyślnie gapili się na rosnące ściany, majster niespodziewanie zawołał ich.

— Podłogi kładziemy. Deski trzeba no-
sić. Ludzi mi zabrakło. Pomożecie?

Chłopcy spojrzeli na siebie niepewnie. Czy to aby nie jakiś żart? Ale majster niecierpliwiał się.

— No co? Będziecie nosić czy nie? Bo
jak nie, to zawołam ludzi z miasta...

— Oddział baczność — zakomendero-
wał Witek zamiast odpowiedzi i zaraz z ust Staszka padła ta sama komenda. Staszek nie mógł sobie darować, że go Witek wyprzedził. Dał więc swoim podwładnym po szturchańcu i szepnął:

— Pamiętajcie, żebyście się nie zbiaż-
niłi. Deski nosić, to nie śniegiem rzucać.
Zrozumiano?

Ostatnich słów jednak nikt nie słyszał. Cały oddział był już przy deskach. Sapali, pocili się, nawbijali sobie drzazgi w ręce, że na drugi dzień wszyscy mieli dłonie w żółte centki, tak ich matki pojodynowały, ale nosili. Nosili „jak starzy” do samego wieczora, do końca roboty.

Chciał im majster dać potem na cukierki, ale nie przyjęli (Franek tylko zlakomiał się, ale mu kulakami prędko wytłumaczyli, żeby pieniądze oddał).

— A jutro przyjdziemy? — spytał Sta-
szek.

— A no cóż, przychodźcie. Teraz już
nie ma niebezpiecznej roboty, to poma-
gajcie, jeśli chcecie.

Od tej pory prosto ze szkoły obie dru-
żyny biegły na budowę. Polubili ich ro-
botnicy.

— Jak to się pętaki rwają... — mówili
śmiejąc się.

A majster obiecał, że jak dom będzie
skończony, to już wystara się o to, żeby
chłopcy byli zaproszeni na otwarcie tego
przedszkola, co to miało być. No bo
i słusznie. Budowali przecież. No nie?



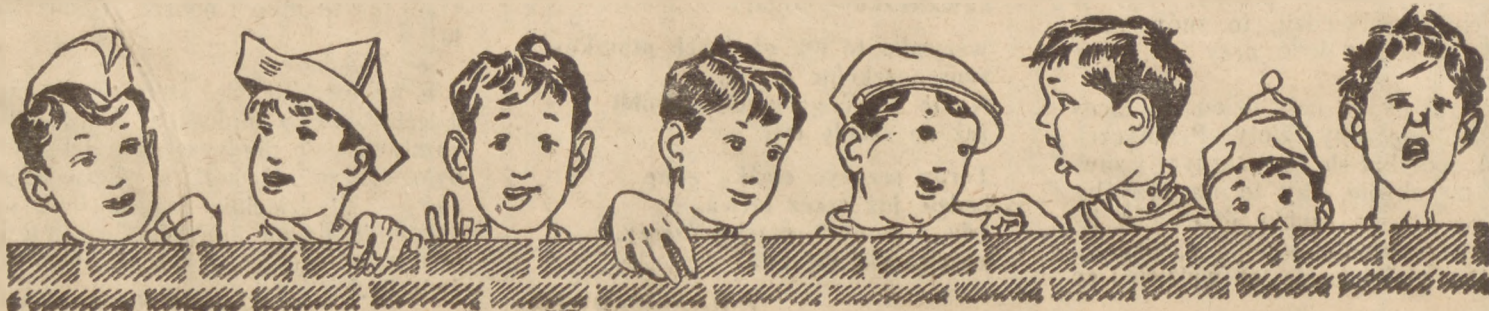
jące w górę wiaderka z wapnem.

— Dobrze, że mrozy zelały — mówił
fachowo Witek — gdyby był mróz to trze-
ba byłoby przerwać budowę.

— A co to będzie?

— Mówią, że przedszkole — a zresztą
co mnie to obchodzi. Nie moja robota. —
I Witek splunął z pogardą.

Ale obchodziło go to bardzo. Tak samo
jak obchodziło wszystkich. Próbowali po-
dejsć bliżej. Ale co przysuną się, to oj-
ciec Witka krzyczy (że też on zawsze mu-
siał wszystko widzieć).



Promyki

Byli sobie dwa Promyki. Jeden złoty, drugi srebrny. Bracia stryjeczni.

Ojcowie ich, Słońce i Księżyc, kochali się, jako bracia, serdecznie, ale cóż, od chwili kiedy Słonko zaprzyjaźniło się z Dniem, a Księżyc ożenił się z Nocą, przestali się bracia widywać ze sobą, a przynajmniej widywali się dość rzadko. Dzieci mieli obaj bez liku — same Promyki.

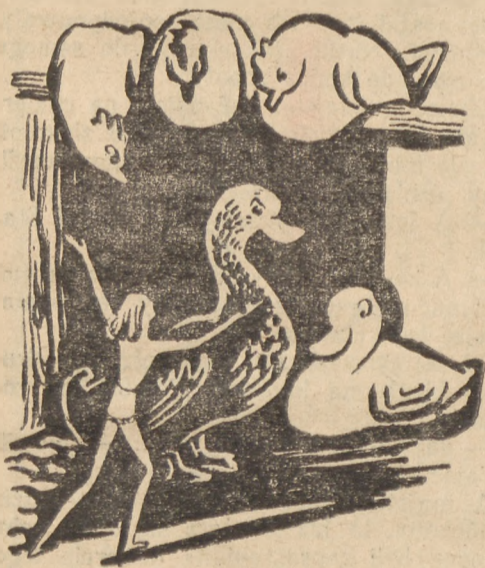
Jak im tam było na imię, nie wiem, wiem tylko, że jednego trzymał do chrztu wuj Swit z babcią Zorzą Wieczorną a drugiego dziadzio Mrok z ciocią Jutrzenką.

Ogromnie miło były te Promyki. Wesołe to było, a żywe, a zwinne, a dobre.

Roboty miały co niemiara.

Złoty, ledwie się z pierwszym brzaskiem obudził, już na złamanie karku pędzić musiał do kurnika, żeby kury i kaczki pobudzić, stamtąd szedł do stajni przywtać się z siwkami, wykapał się po drodze w strumyku, aż się iskry sypały po wodzie. Potem przez wąziutką szparę w okiennicy przeciskał się do pokoju swego wielkiego przyjaciela Józia i pomyślał po sobie skakał, aż się Józio obudził.

Ale nie same figle go się trzymały. Trzeba było wisienkę dobrze zarumienić żeby ładnie dojrzała, wróbelki małe ogrzać, kiedy je matka na chwilę z gniazda odleciała, mgły na łące roznieść.



no suszyć na pokosie. To znówu dzieci z małej, niskiej izdebki prosiły, żeby je choć na chwilę odwiedził, to znów panu nauczycielowi trzeba było przy tablicy w szkole świecić.

Było tej roboty na cały dzień. A kiedy wieczorem, zmęczony złoty Promyczek szedł spać, spotykał się ze srebrnym i zawsze choć na chwilę, czy to na przyźbie przed chatą, czy na czubku drzewa w lesie, czy przy łąkowym strumyku, siedzieli razem, opowiadając sobie, co widzieli i co zrobili.

Bo i srebrny Promyk też miał dużo do roboty, a więc i do opowiadania.

Czy to sobie w oczy spojrzeć i nagłym blaskiem oślepić, kiedy biednego czyżyka już, już miała schwytać czy zbłąkanemu po nocy podróżnikowi drogę pokazać, czy czasem z figlów śpiącą wiewiórkę obudzić, albo wronę, co potem do białego dnia zrzedziła, że zasnąć nie może.

Najwięcej jednak czasu spędzał srebrny Promyk przy dziecińczych łóżeczkach.

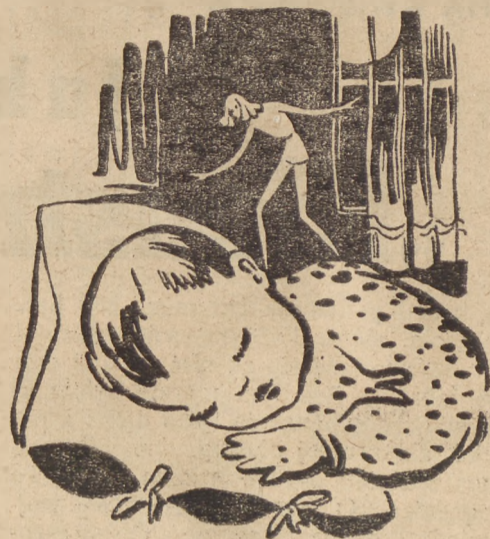
Zakrada się po cichutku, przycupnie na poduszce przy samym uszku, długą srebrną nitkę za sobą wciągnie i dalejże dziwy opowiadać o grubasku Skrobogarnku, o

małej Marysi, co dwa serduszka miała, o szklanej górze, o żelaznym wilku.

Lubił srebrny Promyk siedzieć i przy chorych dzieciach i prosić im w oczka zdrowy, rzeźki sen, żeby i mamusia, co wciąż przy łóżku czuwa, i dziecię za rękę trzyma, też odpocząć trochę mogła.

Siedzi tak czasem srebrny Promyk aż do rana i ma wtedy złotemu dużo do opowiadania, jak się z nim zejda na gawędę, jako zawsze rano i wieczór bywało.

Aż pewnego wieczoru Promyk na spotkanie nie przyszedł. Co się też srebrny naszukał, namartwił, natęsknił. Obiegi cały



Wróbelki

Przyleciały raz wróbelki, pod okienko Zosi:

— Rzuć nam trochę okruszynki! — tak jeden z nich prosi.

Ale Zosia nie rozumie ptasiego języka, bojętnie patrzy w okno chrupie piernika.

Więc wróbelki poleciały na okno do Anki:

Anka siedzi w domu jedząc smaczne obwarzanki.

— Rzuć nam Anko, obwarzanka, okruszek niewielki nie jadyśmy dziś nic jeszcze — skarżą się wróbelki.

Ale Ankę nie wzruszają te ptaszące żale, chrupie dalej obwarzanki, choć nie głodna wcale.

Więc wróbelki, smutne bardzo, usiadły na drodze, mróz je dręczy bezlitośnie, głód dokucza srodze.

Aż tu raptem leci wrona i radośnie woła, że dla ptaków jadalnąję urządziła szkoła!

Można znaleźć tam do woli wszelakiego jadła: zboża, chleba, kartofelków, kawaleczków sadła;

wszystko to dla głodnych ptaszków znoszą szkolne dzieci.

Na tę wieść gromadka wróbli już do szkoły leci.

Teraz przeżyć ciężką zimę będzie już rzecz łatwa, gdy z pomocą ptasiej rzeszy, pośpieszyła działwa!

świat raz, i drugi i dziesiąty, bo to Promyki, wiadoma rzecz, szybkie w nogach. I nic. Przepadł złoty Promyk, nie ma go i nie ma. Czy się w studni utopił, czy go rybki w niewolę wzięły, czy w leśnej gestwinie zabłądził, czy w powojach w zbożu się zaplątał, czy na kamieniach gdzie rozbił? Nie ma i nie ma. Co noc biedny srebrny Promyk ugania się i przyjaciela szuka, aż schudł, zmizerniał i przybladł.

Aż tu kiedyś wędrując przez cichą, uspioną wioskę, w chwili, gdy mijal stojącą na skraju ubożuchną chatkę kowala, tknęło go coś, żeby do tej chatki zajrzeć. Drzwi na oścież takiemu podróżnikowi otwierać nie trzeba, szparki drobnej wystarczy, a szpar i dziur miała kowalowa chatka moc. Zajrzał tedy Promyk i widzi — w izbie ciemno było co prawda, ale Promyki wszystko wszędzie widzą, od tego są Promykami, — widzi tedy opalkę na sznurach u pułapu wiszącą, a w niej na garści siana śliczne, nowonarodzone dzieciątko leży. Matula siedzi na ławce, kołysze i piosenkę nuci, a maleństwu już się oczka do snu kleją.

Wyrzeszczył Promyk oczy z całej siły i widzi, że tam, pod koszulką, w serduszku maleństwa jego najserdeczniejszy przyjaciel, złoty Promyk siedzi, skulony w dziesięcioro, jak motek złotej przędzy.

— A ty co tu robisz?!

— A no widzisz, przechodziłem tedy, jak się ten szkrab urodził i tak mi się na widok tej biedy serce ścisnęło, żem nijak tej chalupki minąć nie mógł. A jakim raz wszedł i takie śliczne, czyściutkie mieszkanie znalazł, już nie chciałem się więcej ruszać, tak tu miło i dobrze. Chodź i ty tutaj.

— A dobrze.

I wprowadził się srebrny Promyk do dzieciątkowego serduszka. I już odtąd nie rozstawali się nigdy ze sobą i tak im tam było dobrze, aż hej! I tylko się później Jaś — bo dziecinie Jaś na imię dał — ogromnie dziwił zawsze, skąd mu tak w serduszku jasno. A to te Promyki, tak świeciły.

Co wy o tym myślicie?

W klasie zaczęły się dziać rzeczy bardzo nieprzyjemne. Najpierw ktoś zjadł Marysi śniadanie. W torbie zostały tylko okruszynki. Marysia popłakała, ale ją ja-koś uspokoiłi.

— Może nie wzięłaś z domu? Może zgubiłaś?

Potem Frankowi zginął scyzoryk, a Mańkowi — jeszcze gorzej — pieniądze, które ojciec mu dał, żeby zapłacić, gdy będzie wracał ze szkoły, za wodę.

— W klasie jest złodziej — powiedziała pani. — To bardzo przykra rzecz. Może był głodny i zabrał Marysi śniadanie, może mu były koniecznie pieniądze potrzebne i ukradł. Nie wiem. Ale nie możemy znieść tego, żeby u nas w klasie ginęły rzeczy. Kto to zrobił, niech przyjdzie do mnie po lekcjach. Nic mu złego nie zrobię i nikt o tym nie będzie wiedział. Ale niech przyjdzie. Jeżeli jest w ciężkich warunkach, jeżeli mu czegoś potrzeba, to pomyślimy, żeby pomóc, ale nie można przecież kraść u kolegów.

Na drugi dzień w klasie nie zginęło nic, ale za to Staszewi z piątej klasy zabrał ktoś wieczne pióro. Teraz zrobiła się już awantura na całą szkołę. Bo to było pamiątkowe pióro, które Staszek miał od ojca.

— Zatlukę tego złodzieja — krzychał Staszek. — Na Milicję pójdę... Jak mu było potrzebne, to niechby mi powiedział, to bym już mu kupił, żeby mi tylko tego nie brał.

Wózny powiedział, że musi złodzieja znaleźć, bo inaczej podejrzenie na niego padnie.



— Trzydzieści lat w tej szkole pracuję, a jeszcze mnie coś podobnego nie spotkało...

Chcieli nawet robić rewizję u dzieci, ale pani się sprzeciwiła.

— Nie pozwolę. Ja mam zaufanie do dzieci. Jeżeli ktoś wziął to sam się zgłosi.

Nieprzyjemnie. Każdy myśli. — „A może mnie podejrzewają?”

I złodzieja wykrył nagle i niespodziewanie Franek. Wyszedł z klasy wody się napić. Patrzy a tu w kącie stoi Janek. Stoi sobie spokojnie i temperuje ołówek. I temperuje ołówek tym samym scyzorykiem, który Frankowi niedawno zginął. Janek go zobaczył i prędko scyzoryk schował do kieszeni i zaczął mu opowiadać jakąś przygodę. Franek w pierwszej chwili chciał zwyczajnie powiedzieć:

— Oddaj scyzoryk i wszystkie rzeczy, które ukradłeś — ale mu się zrobiło wstyd. Tak jakoś wstyd za kolegę. I nie powiedział nic. Ale zaczął obserwować. I zauważył, że Janek, który dawniej nie miał nigdy pieniędzy, teraz je ciastka na drugie śniadanie i często chodzi do kina. Nie było wątpliwości — Janek kradł. — Janek był złodziejem.

Ale co teraz robić? Powiedzieć pani? Naskarzyć? Wydać kolegę? Czy jemu powiedzieć, żeby się sam przyznał? Ale to nieprzyjemnie. I jak z nim gadać? Zaprze się przecież w żywe oczy. Powie, że to nieprawda, że mu się tylko przywidziało...

Napiszcie, jak, waszym zdaniem, powinien postąpić Franek. Najlepszą odpowiedź wydrukujemy.

VI

Na drugi dzień rano gdy Franek właśnie wychodził do szkoły, przyszedł do niego zupełnie niespodziewany gość — Heniek. Franek czuł się zmieszany i zaszczycony takimi odwiedzinami.

Heniek od razu przystąpił do sprawy. — „Słuchaj kolego, odstaw mi twoją soczewkę, dam ci za nią nakręcany samochód, bardzo dobrze jeździ”.

„Na co mi samochód? To dobre dla małych dzieci, a soczewką ja mogę się w kino bawić. Zresztą po co ci moja soczewka, masz przecież swoją. Twoja jest silniejsza od mojej, bo ma 10 dioptrii a moja tylko 5”. Wyszli razem w kierunku szkoły. Gimnazjum Henika było w przeciwnej stronie — „pewnie mu bardzo na tej soczewce zależy” — myślał Franek — jeżeli nie boi się spóźnić do gimnazjum, tylko mnie odprawadza”.

„Moja soczewka” — mówił Heniek — „ma właśnie za dużo dioptrii, a za krótką odległość ogniskową”.

„A do czego ci moja potrzebna?”

„Chcę zbudować aparat projekcyjny, założę jakąś pocztówkę albo fotografię, a ty na ścianie zobaczysz to w powiększeniu, zupełnie jak na ekranie, tylko ruszać się nie będzie. Zobaczysz jak to będzie ładnie”.

„Ale czemu moja soczewka ma być do tego lepsza?”

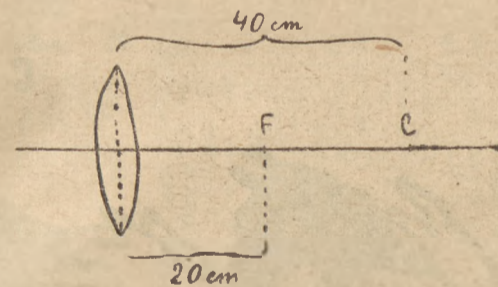
„Bo widzisz, to jest tak” — usiedli na ławce i Heniek rysował patykami na piasku.

„Tu jest soczewka, oś optyczna, na osi optycznej ognisko F. To ognisko jest o 20 cm oddalone od soczewki. Rozumiesz?”

„Tak — to znaczy to jest moja soczewka”.

Heniek mówił dalej.

„Tutaj na osi optycznej oznaczę punkt C, który jest oddalony od soczewki dwa razy dalej niż ognisko, to znaczy o 40 cm. Widzisz?”



„Widzę, ale po co ten punkt?”

„Ty nie pytaj, a uważaj co mówię. Tutaj na osi musimy postawić oświetloną pocztówkę w ten sposób, żeby gdzieś tam na ścianie soczewka unicieściła mi powiększony obraz tej pocztówki. Ale soczewka czasem wytworza obraz powiększony, czasem zmniejszony”.

„Wiem, wiem, wczoraj właśnie widziałem” — wtrącił się Franek. — „Jeśli jest świeczka bliżej soczewki, to obraz jej jest powiększony, kiedy dalej — to zmniejszony”.

„Znowu mi przerywasz” — złościł się Heniek. — „Jak wiesz, to powiedz, pokaż tu na tym rysunku, gdzie trzeba unicieścić przedmiot, aby mieć obraz powiększony”.

Franek nie wiedział.

(Dalszy ciąg nastąpi)



„Rzeczywiście” zmartwiła się Hanka — „jak to będzie wyglądał taniec do góry nogami?”

Wtem skrzypnęły drzwi — mama wracała. Jednym skokiem Hanka znalazła się pod kołdrą, a Franek przypomniał sobie nieodrobione lekcje i czym prędzej wziął się do książki.

Przed pójściem spać jednak wyciągnął swój notes i zapisał co następuje:

1) Promienie równoległe do osi optycznej soczewka skupia w jednym punkcie, który się nazywa ogniskiem soczewki.

2) Różne soczewki mają różne odległości ogniskowe.

3) Jeżeli soczewka ma ogniskową równą 1 m, to zdolność zbierająca tej soczewki równa się jednej dioptrii.

4) Ile razy mniejsza jest ogniskowa, tyle razy większa jest zdolność zbierająca soczewki.

5) Soczewka wypukła może dać na ekranie obraz jakiegoś przedmiotu jasnego. Obraz ten jest zawsze odwrócony do góry nogami.

6) Jeżeli przedmiot jest blisko soczewki, to obraz wypada daleko i jest powiększony.

7) Jeżeli przedmiot jest daleko od soczewki, to obraz powstaje bliżej i jest zmniejszony.

O MARCU I JEGO GARNCU



Idzie młody marzec,
niesie błoto w garze
i woła z daleka:
— Hej, zimo, uciekaj,
bo teraz ja sobie
porządek tu zrobię.
Pięć kałuż młynarzowi: chlapi!
Pięć kałuż kowalowi: chlapi!
Pięć kałuż szewczykowi: chlapi!
A krawcowi, co mieszka



za wsią przy jaworze,
do tych pięciu kałuż
jeszcze pięć dołożę.
Ile będzie miał?
Ciska słonko srebrem,
idzie deszczyk z cebrem.
To chlapi, to chlapi,
to na drodze uśnie,
to znów dudni: — Marzec
z cebra łać nie każe.



Pięć cebrów młynarzowi: chlapi!
Pięć cebrów kowalowi: chlapi!
Pięć cebrów szewczykowi: chlapi!
A krawcowi co mieszka
za wsią przy jaworze
do tych pięciu cebrów
jeszcze sześć przyłożę.
Ile będzie miał?

LUCYNA KRZEMIENIECKA

KACIK ROZRYWKOWY

CIENIE



Kot



Tygrys



Wieśniak



Kot

Żeby iść do kina,
trzeba kupić bilet, a
nie zawsze możemy
sobie na to pozwolić.
Możemy jednak zro-
bić sobie w domu ta-
kie maleńkie niemo-
kino z cieni, jakie na
oświetloną ścianę rzu-
cają nasze własne rę-
ce. Spróbujcie i na-
piszcie, czy Wam się
udało.



Zając



Ciepł



Diabeł

DODAWANKI

1. Zdrobniała nazwa ojca + skoru-
piak = rodzaj trzciny.
2. Zabawa taneczna + zaimek wska-
zujący = przedmiot, służący prze-
ważnie do celów doświadczalnych
i obserwacyjnych (może być też za-
bawką).
3. Spółgłoska + oprawa obrazu + spół-
głoska = rodzaj sztuki scenicznej.
4. Spółgłoska + egzotyczne zwierzę =
zabrudzone miejsce na materiale.